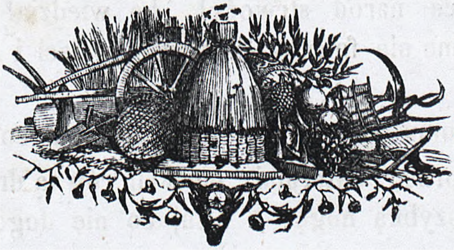
Tom II. **Nr. 17.**

11. Czerwca **1860.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Śta KINGA.

Z Węgierskiego kraja do Krakowa przybyłać ona święta królowa — Kunegunda. I zaraz-ci wsławiła się między naszym ludem, wielkim cudem: bo oto kazała kopać w Bochni i Wieliczce i dokopali się ludzie soli ślicznej, co nam ją nasza Pani miła u Boga wyprosiła. — Odtąd wszystek lud cierpiący garnął się do królowej: więc sieroty i ubogie wdowy i stare i różne kaleki, doznawali jej świętej opieki.

Bywało jedzie sobie królowa z Krakowa, a wciąż jeno patrzy w koło siebie, ażali ktoś nie w potrzebie. Aż tu ubogi przy drodze leży, prawie co bez odzieży -- więc nasza Kinga litościwa królewską szatą go okrywa.

To znowu gdy nastała głodna wiosna, królowa litośna póty oka nie zmruży, póki głodnych nie nakarmi, biednym nie posłuży.

Do chorych też często chodziła i nie jednego śmiertelnie słabego cudowną łaską swoją uzdrowiła. — Tak tedy i niedziwota, żeć ta nasza święta królowa, począwszy od Krakowa aż het jak Polska cała, wielką sławę miała i miłość wielką u ludu.

Raz nie było jej w Krakowie — a tu słychać że Tatarowie przez Wisłą się przeprawili i kraj wszystek pustoszyli. Otóż się wielce naród strwożył, bo wiedział jako się Tatar srożył jak nikomu nie folgował: starce, dzieci i niewiasty srodze mordował.

— Hej, komu życie miłe, nie czekaj a co żywo uciekaj! I uciekali przed Tatarami, uciekali równą drogą, a za nimi gonią Tatarzy szybką nogą — i tuj co nie dogonią.

— Hej, już nam pono umierać z zbójeckiej ręki, bo Tatar niedaleki!

Aż tu naraz przed nimi, gdyby wyrosła z ziemi — święta Kinga królowa. I stanęła na przedzie i lud swój przed Tatarami do Węgier powiedzie. A strojna ci była strojna, jako Anieli w bieli, jeno co miała *niebieską przepaskę* i w ręce trzymała *białą laskę*, a na głowie *korona* z drogich kamieni cudnie się Jej od słońca mieni.

— Oj ty nasza królowo, rzeknijże święte słowo, oj bo już Tatar blisko — a toć żeby nam się z przyczyny jego nie stało co złego.

Wtedy królowa święta bierze *przepaskę*, co nią była opięta — i na drogę ją rzuci. A z tej przepaski stała się wielka rzeka, *Dunajec* — i nasi byli za rzeką, a tamci przed rzeką.

Dopieroż się Tatarzy wściekali, żeć im przed nosem głęboka woda, takowa przeszkoda. I zanim się przeprawili, dużo swoich nagubili, a tymczasem nasi już gdzieś daleko za rzeką.

Ale oni na koniu, to ich taki dogonią!

— Oj ty nasza królowo, rzeknijże święte słowo, oj bo już Tatar blisko — a toć żeby nam się z przyczyny jego uie stało co złego.

Tedy Kinga święta *białą laskę* rzuciła, coby Jej w drodze nie wadziła. A z onej laski stałci się gęsty las — i nasi byli za lasem, a tamci przed lasem.

Strach! co się Tatarzy nie naklęli a nie nawyzywali na naszych, i przyrzekli żeć wszystkich na ogniu oswędzą, skoroć ich dopędzą. A nasi tymczasem już gdzieś daleko za lasem.

Ale oni na koniu, toć ich jeszcze dogonią!

— Oj ty nasza królowo, rzeknijże święte słowo, oj bo już Tatar blisko — a toć żeby nam się z przyczyny jego nie stało co złego.

Więc Kinga święta do *korony*, co ją miała na głowie z drogich kamieni, aże się tak cudnie od słońca mieni. I aby lud swój zbawić zdejmie swoją koronę i na ziemię porzuci i ani się za nią nie odwróci. Aż tu z onej korony wyrosły pod same chmury *Tatrzańskie góry* — i nasi byli już za górami, a tamci jeszcze przed górami.

Otóż pierwszego dnia przez one góry drogi szukali, Tatarowie zuchwali. — A drugiego dnia ze złości co się nie wściekli, żeć im nasi uciekli. — A trzeciego dnia po nad Tatry słońce zeszło cudnie: oj, a kędyż to panowie Tatarowie, co ich nie widać?... pomykali na szybkim koniu, ale już naszych nie gonią — pomykali het z polskiej krainy, poganiny!...

Tymczasem wraca z Węgier do Krakowa nasza gromadka zdrowa i on cud zbawienia swego głosi, aże się po całym świecie roznosi.

Oj, a potem jeszcze długo żyła, nasza królowa miła — ale już nie na tronie ani w złotej koronie, jeno w klasztorze na służbie Bożej. I otóż ci ona Pani tak słusznego stanu, z miłości ku Panu, najlichszym sługom posługuje w klasztorze, w wielkiej pokorze. A kiedy śmierć przyszła, wcale Jej straszną nie była iże tak pięknie żyła — a zaś oni, co stali koło niej, wielką natenczas światłość widzieli i jako niebiescy Anieli czynili cudne śpiewanie, umierającej naszej świętej Pani.

O święta Kingo, królowo! Ty coś zbawiła naród polski przed Tatarami — módl się za nami!..

Śpiewka o królu Janie.

Czy to mgła ze stawów taka czarna wstaje,
Czy szarańcza leci w niemieckie zagony,
Czy przepiórcze stado leci z onej strony?
Ani ci to czarna mgła ze stawów wstaje —
Ani to szarańcza leci na zagony —
Ani ci to stadem nie lecą przepiórki, —
Jeno co na koniach czarne pędzą Turki.

Lecą Turki lecą, szable się im świecą,
A co jeno żyje, po norach się kryje,
A gdzie się ostali, to się wszystko pali.

Kuka w czarnym borze żałośna zazula;
Szlą Niemcy pisanie do polskiego króla:
— Hej panie Sobieski! hej ty królu polski!
Przyjdźże w imię Boga, bo nam wielka trwoga,
Turek srodze broi, mało nas nie poje.

Słucha król Jan posły i nasrożył wąsy,
Klasnął tęgo w rękę, woła na wojenkę.

Piszą Niemcy piszą, szlą drugie pisanie:
— Hej ty panie polski! hej ty królu Janie!
Przyjdźże jeno rychło, bo tu wielkie licho,
Toć mam już trzy ćwierci do okrutnej śmierci.

Słucha król Jan posły i nasrożył wąsy,
Zagrał w srebrną trąbkę, na konika siędzie,
Polskich wojowników na wojenkę wiedzie.

Jedzie wojsko jedzie, a król Jan na przedzie;
I wnet przyjechali kędy Turcy stali.
Westchnął król Jan z piersi: — Hej mój Boże miły!
Na ochrzczoną ziemię Turki się zwaliły.
Dodajże mi męztwa z wysokiego nieba,
Bo ich duża siła, to mi go potrzeba. —
Jeno ci to wyrzekł, popatrzy do góry,
Aż tu orzeł biały wyleciał zza chmury.
Skrzydła mu się szkliły i powietrze biły,
Usiadł Sobieskiemu na zbrojnem ramieniu.
— Hejże w imię Boskie, moje hufce polskie!
Uderzmy na wroga, taka wola Boga.
A tu hukły kotły i trąby zagrały,
Aż ci się gdzieś lasy i góry ozwały.

Siedzi wrona siedzi, pokrakuje sobie:
— A co też ja z temi poganami zrobię!
Chyba ja polecę po kruka i kawkę,
A będziemy mieli z Turkami zabawkę.

Jak zielone siano kiej po sianożęci,
Leżą polem Turki, leżą bez pamięci,

Zlatują się kruki i kawki i wrony,
I psi nadciągają od przeróżnej strony.

A we Wiedniu mieście, wielkie kamienice,
Jedzie król Jan, jedzie w szeroką ulicę;
Jedzie król Jan, jedzie na siwku na przedzie,
Czapeczką potrząsa i pokręca wąsa.

Siedzi Niemka w oknie i tak myśli sobie:
— Śliczny ten król polski, a cóż ja też zrobię!
Tak ci mi naczynił swojemi wąsami,
Że mi tylko jechać z tymi Polakami.

Nie frasuj się Niemko bo tak źle nie będzie;
Niech tam każdy siedzi, kędy raz usiędzie.

Jak ci wojownicy Turków zwojowali,
Pięknie się skłonili, do dom pojechali.
Jedzie król Jan jedzie, na siwku na przedzie,
A Bogu na chwałę śpiewa wojsko całe.

Grześ z Mogiły.

NIBY BIEDA, A NIE BIEDA.

Pocieszna przygoda jednego pijaka.

W czas rano wybrałoć się dwóch gospodarzy ze Świdrowic do Mikłuszowa. Przechodząc wedle starego cmętarzyska, gdzie stał od niedawna założony spichlerz gromadzki, zobaczą aż tam coś sporego leży pod samym spichrzem. Ciekawość ich zdjęła, coby to było — zeszli więc z drogi i poczęli się temu z bliska przypatrywać.

— Patrzajcie-no kumie, zawoła jeden, toż to worek leży!

— I widzi mi się nie próżny — dodał drugi.

— Hej — prawi znowu pierwszy — anuż to złodzieje dobrali się nam do spichrza!

— Dobrze powiadacie, może i złodzieje. —

— Mój Boże! taka to pomoc z wartownika. Nie znacie też, na kogo była kolej?

— Zda mi się, na Wawrzka.

— O, to i nie dziwota! u niego pilniejsza warta przy kieliszku. Ale zobaczmy-no, ażali to na prawdę nasze zboże w onym worku — prawi pierwszy chłop i nachylając się, wyciąga ręce aby worek obmacać.

Aliści zaledwo macnął, worek się cały gdyby żywy poruszał i coś w nim zamarkotało takim głosem, jakoby właśnie niedźwiedź. Chłopiska narobiły srogiego gwałtu i dalej w nogi. Nie opodal stało sołtysostwo — tam obaj zestraszeni wpadli i dali znać o wszystkiem sołtysowi. Ten zaraz posłał po przysiężnych; przysiężni znowu skoroć się dowiedzieli o co idzie, roztrąbili duchem po całej wsi i niebawem cała prawie gromada z sołtysem na czele wyruszyła ku spichlerzowi.

Dzień się już był zrobił na piękne i doskonale było widać, jak na prawdę pod spichrzem leżało spore worczysko i że był czemś wypakowany. Skoro się przybliżyli, worek znów się poruszył i znowu coś w nim zamarmotało niedźwiedzim głosem. Gromada przestraszona stanęła opodal. Nikt jakoś nie śmiał przystąpić bliżej. Dopiero kowal, chop okrutny jak dąb i największy zuch w całej gromadzie, pierwszy się na to odważył. Z setną palicą w ręku postąpił naprzód. O parę kroków od worka zatrzymał się i nuże poszturkiwać go kijem. Co szturknie, to worek się poruszy, a każdą razą inaczej: roz przodem, drugi raz tyłem, to na lewo się przegibnie, to na prawo, a zawsze było słychać to samo mruczenie. Już też za nadto było tego kowalowi — więc splunął w garść, zaklął siarczyście i jakci nie wywinie palicą, jakci nie huknie po worku z całej siły, aż ci worek poderwał się na jaki łokieć od ziemi i zakrzyczało w nim ludzkim głosem: gwałtu! — Kowal choć wielki zuch a taki strach go chwycił za pięty i na dobry sążeń odsadził się w tył. Gromada zaś już już co nie czmychnęła do domów. Wtem nadchodzi ksiądz proboszcz, co mu dali znać o tem i zakazał im się rozchodzić.

— Cóż znowu tak strasznego! powiada — wstydźcie się! człowiek przy czystem sumieniu niema się lękać niczego.

Odezwał się kowal: — A proszę Jegomości, jeśli to Bieda co ją nam ktoś niedobry we worku podrzucił? możeby lepiej i nie tykać tego, ale po prostu zataszczyć do stawu i zatopić to licho.

— Gwałtu! zawrzeszcało okrutnie we worku i jeszcze bardziej jęło się ciskać na wszystkie strony.

— Oo, słyszy dobrodziej—rzeknie kowal już nie na żarty przelękły, podczas gdy reszta gromady jako ta trzoda lękliwa, zbiła się w jedną kupę i stała tak nic nie mówiąca od strachu. — Hej, a jak to gwałtuje! a jak się srodze miota! Dobrodzieju, dozwólcie nam zatopić go w stawie.

W worku nie ustawało na chwilę miotanie — zdało się, że tuj tuj co nie puści, a takie było słychać sapanie, jakby naraz przynajmniej z dziesięć kowalskich miechów pracowało. Teraz ksiądz proboszcz się odezwie:

— Oj ludzie, ludzie! dobrze to mówią: „*Ksiądz swoje, a czart swoje.*“ Dopókiż to wam będę prawić, że cała *bieda* siedzi w waszem sercu i w waszych niedobrych uczynkach; że każdy człowiek jest sobie sam najstraszniejszą *biedą*, gdy się w grzechu rozpuści; że innej biedy nie masz na świecie, chyba że nazwiemy *biedą naszą* one kary niebieskie, coć je Bóg na ludzi dopuszcza za grzechy, jako to; wodę, ogień, ciężką chorobę i srogiego nieprzyjaciela. Zresztą, dodał żartobliwie, jeśli komu bieda, toć że u niego pusty worek, a ten jak widzę pięknie wypchany — to i chwała Bogu!

Ostatnie powiedzenie proboszcza rozweseliło gromadę — zatem więcej ducha nabrała. Ksiądz zaś już nic nie pyta, jeno śmiało przystępuje do worka i dalej go rozwiązywać. Co widząc kowal, po trzykroć się przeżegnał, splunął w garść i z kijem w ręku postawił się mocno na nogi, jakby się do bójki gotował. Inni dech w sobie zaparli i jeno czekali co to będzie z tego.

Dobrze się umęczył ksiądz proboszcz, zanim rozwiązał. A musiał też i coś śmiesznego pomiarkować w worku, bo się wciąż uśmiechał do siebie. — Skoro jeno rozwiązał, takci mój worek hyc do góry i stanął na równe nogi. Ksiądz proboszcz stał najbliżej i jeszcze się uśmiechał — kowal zawsze jeszcze mocno trzymał palicę bo nie dowierzał, a gromada z drogi rozdziawiwszy gęby, patrzyła choć wypatrzyć oczy.

I poczęło się z worka dobywać i pokazały się naprzód całe bóty, a potem kożuch już nie nowy, aż ci dalej i twarz

ludzka i nareszcie rudy łeb Wawrzka wartownika wysunął się z worka.

Dopieroż to cała gromada w śmiech aże się po całej wsi rozległo. Ksiądz proboszcz już się wtedy nie śmiał, jeno smutnie poglądał na Wawrzka, co teraz stał oniemiały i czerwony jak szczery ogień od wstydu, widząc się w takiem pośmiewisku ludzkiem.

A tu go otoczyli kołem i wołają: — Wawrzek, ta dla Boga, co się z wami stało dziwnego?

Była tam i Wawrzkowa z dzieciakami, co się za nią przywlokły — ale widząc co się stało z jej chłopem i że się tak z niego naśmiewają, rozpłakała się nieboga i duchem nawróciła do chałupy.

Na owe ludzkie śmiechy chciał Wawrzek coś odpowiedzieć i otworzył gębę, ale jakoś mu nie szło. A tu znowu kowal trzyma się za boki, boć go taki śmiech zdjął niezmierny i woła:

— A bodaj cię! a ja was nie chcący obraził, panie Wawrzek! no wybaczcie mi, bo dalipan żem się was nię spodziewał tu znaleść.

Gromada znowu: Cha, cha, cha! — A biedny chłopisko gębą krzywi a krzywi, tak by rad zagadać, a tu ani daj Boże.

Więc jeszcze większa uciecha między ludźmi: — Wawrzek! pokpiwali sobie z nieboraka — co też wam się śniło we worku spiącemu?

— Dosyć już tego! rozkazał ksiądz proboszcz — niegodzi się naśmiewać ze swoich, ale się raczej litować nad nimi. A do Wawrzka: — widzisz człeku! i trza ci było tego wstydu na starość? a sameś sobie winien — wiemci ja, że nie co innego jeno ta wódka bałamutka taką sromotę sprawiła ci przed ludźmi.

Dopiero Wawrzek w płacz, co się aż wszystkim żal zrobiło chłopiska, tak się srodze rozbeczał.

— Bodajżem cię nie zaznał w mojem życiu! zawołał nareszcie, zanosząc się od płaczu — bodaj cię moje oczy nie widziały ta bodaj... że ja dziś na moje lata przez ciebie... tfu! tyla wstydu zaznaję.

— Nie kląłbyś człeku, rzeknie znów proboszcz — boć twojej klątwy co sobie idzie na wiater, gorzałka się nie ulęknie.

Ot lepiej byś zrobił, ślubując raz na zawsze od wódki — a należałoby już tedy przyjść do rozumu.

— Oj Dobrodzieju! na to Wawrzek, schylając się do kolan księdza proboszcza — dziś jeszcze, choćby i zaraz uczynię ślub przed Chrystusem — niech nasze wrogi żłopią wódkę, już ja się jej nie tknę, o dalipan!

— Ale któż u licha, pytał ksiądz proboszcz, zapakował cię do worka?

— Otóż właśnie że nie wiem, mój złoty dobrodzieju! ani krzty nie zapamiętam. Ten psianoga Mendel z murowanki musiał mi koniecznie coś do wódki naczynić, żeć mi się na taki twardy sen zebrało, co nic a nic nie pamiętam. Dopiero ocknąłem się jako tako, kiedyście mnie zaczęli kijem naszturkiwać.

Ksiądz proboszcz pokiwał głową: — A podaj-no mi worek, niechaj mu się przypatrzę.

Aliści zaledwo Wawrzek nachylił się po niego, wykrzyknie:

— Ki tam licho! patrzaj, taże to pański worek!

Poznawali też i drudzy, jako że dworskie worki znaczne były i wszystkim znane, co chodzili na zarobek do dworu. Otóż i zaraz wszystko się wydało. Raz był Wawrzek w nocy, a także na murowance, poswarzył się z dworskimi parobkami, co mu nie chcieli wódki kupić. — To ja was oskarzę do dworu, odgrażał się wtedy Wawrzek — że się po karczmach włóczycie w nocy, choć wam to zakazano. — Parobcy myśleli, że jeno tak sobie żartował, a on taki na prawdę zaraz nazajutrz poszedł i zdał ich przed panem. Owóż ztąd parobcy mieli złość do niego. I dopiero teraz Magda przysiężnego i także kowalówna przypomniały sobie, jako się wczorajszego dnia, kiedy były na pańskiem, parobki zmawiali na kogoś, jeno że nie dosłyszały na kogo. Zawołał Wawrzek:

— Niech im Pan Jezus tego nie pamięta! to już oni napewne dziś mi się odpłacili za moje poskarzenie przed panem. No co prawda, narobili mi wstydu, ale też może i dobrze że się tak stało. Chcieli mi przez złość dokuczyć, a oto Pan Bóg tak zrządził, żeć mi właśnie dopomogli do dobrego, bo mi do reszty obmierzili to nieszczęsne wódczysko. A toć pójdę i za to pięknie się im pokłonię.

Potem już rozeszli się ludzie, każdy w swoją stronę, bo i bez tego czas był do roboty. A Wawrzek poszedł wraz z księdzem proboszczem, jako że mieli jedną drogę do dworu i na probostwo. — Skoroż parobcy dworscy zobaczyli Wawrzka z workiem na plecach, nuże w śmiech:

— O, o Wawrzek z workiem! — powiadają — czyście przyszli zapożyczyć się zboża u dworu?

— Nie, moiściewy — odrzeknie chłop — to nie mój worek, ale pański com go dzisiaj rano na sobie znalazł.

— Aj! podziwują parobki — powiadacie nam dziwne rzeczy, jakto na sobie?

A Wawrzek: — Psotniki! zażartowaliście sobie ze starego — czyż się to godzi?...

— Ależ gospodarzu! wykrzykną oni, niby nie wiedząc o niczem.

— No, no! powiada Wawrzek i pokiwa im palcem — wiemci ja o wszystkiem, wiem a taki nie mam żalu do was ani trochę. Znać tak się Panu Bogu spodobało, abym się przez to opamiętał. Otóż zamiast cobym się miał gniewać na was, jeszcze wam pięknie dziękuję, bo mi ta wasza psota wyszła wcale na dobre. Zarzekłem się już na zawsze gorzałki.

— Albo to prawda! wykrzykną parobki, nie dowierzając własnym uszom.

— Tak mi Panie Boże dopomóż! zaklął się Wawrzek.

I dotrzymał święcie słowa. Zaraz nazajutrz stanął do spowiedzi i uczynił ślub od wódki. I zrobił się z niego na potem taki przykładny gospodarz, że go sobie po dwóch czy po trzech latach gromada Świdrowiecka za sołtysa obrała.

O onej swojej przygodzie z workiem nie zapomniał do samej śmierci. Często kiedy mu się co złego przytrafiło, jak to zwykle przy gospodarstwie i żona lamentowała: Oj biedaż, moja bieda! — tedy ją pocieszał stary Wawrzek:

— *Niby biéda, a nie biéda!* cicho babo! Nie wszystko co się nam tylko nie podoba, jest zaraz naszą biédą. Może to dla naszego dobra tak nas Pan Jezus doświadcza. Ot myślałem ci ja w onym worku siedzący, a potem na pośmiewisko całej naszej gromady stojący, że *biéda;* a pokazało się właśnie że

nie prawda, bo mi to wyszło na szczęście. Toć i teraz sza, cicho babo! a kiedyć ciężko na sercu, to się lepiej pomódl do Pana Jezusa i Jego Matki Przenajświętszej, a zobaczysz że jakoś złe przeminie i nic nam nie zrobi.

Patrzajcież, jakie to godne chłopisko stało się z tego pijaka Wawrzka!

Rzecz gospodarska.

Co wróży na pogodę, a co na słotę?

Ptaszkowie nasi, co to raz wraz żyją na wolnem powietrzu i nie mają ani chałupinek swoich, ani też innego odzienia, prócz tej pierzynki co na sobie — prędzej przeczują każdą najmniejszą zmianę w powietrzu, niżeli człowiek. To też niezawadzi gospodarzowi i ptaszka się popytać, jak ta będzie na dworze: pogoda czy słota?..... Ale że to ptaki gadają po swojemu i nie każdy je zrozumi, przeto wypada pouczyć się od drugich, już doświadczonych w tej mierze. Otóż tak powiadają:

Jeżeli na wiosnę usłyszysz *dudka*, jak swoje up, up, up! wykrzykuje, o! to już na długi czas możesz się spodziewać pogody.

Jesteś w lesie, to słuchaj ażali się często odzywa *turkawka*, boć i to wróży na pogodę.

A jak ci *słowiki* po całych nocach cudnie wyśpiewują, ciesz się, bo już na parę dni przynajmniej nie zaznasz deszczu.

Możesz się także spodziewać stałej pogody, skoro ujrzysz *kruki* w czas rano siedzące na drzewie, jak sobie skrzydła i pióra rozpinają, wywołując raz po raz swoje kru, kru; a zaś w południe, kiedy często dziób rozdziawiają ku słońcu.

Możeście nieraz słyszeli podczas dnia słotnego krzyk *sowy*, to i dziwno wam było, po co ten ptak nocny za dnia się odzywa? Otóż trzeba wiedzieć, że wtedy sowa wróży nam na pogodę. Powiadają ludzie tego świadomi, że sowsko ma taką skórę na sobie, co się jej od wilgoci kurczy. Więc kiedy jest słota, to ona niby chora i dla tego milcząca — a zaś skoro się znaczy

na pogodę, zaraz się zdrowszą uczuje i już nie pyta że to dzień, jeno sobie z wielkiej radości zahuczy kilka razy.

Jaskółki czyli po waszemu *łastówki*, latające wysoko w powietrzu, zapowiadają piękny czas na kilka dni. — Także i *skowronki* śpiewające wysoko po nad ziemią, tak że ich prawie trudno okiem dojrzeć, wróżą o trwałej pogodzie.

Nareszcie i one zbóje na wasze kurki i kaczki, *jastrzębie* pokazują na pogodę, skoro zobaczycie że się wzbijają wysoko w górę.

Przed burzą chowają się ptaki i przestają śpiewać. — Jaskółki wtedy spuszczają się na dół ku ziemi za komarami i muszkami, boć i to maleństwo nie rade zmoknąć od deszczu i dla tego gdzie może to się przytuli: na ścianach, po płotachi po drzewach, a bodaj i na kamyczku jakim siędzie, oczekując piękniejszego czasu. Więc jaskółki głodne za temi muszkami, komarami, co się im przed burzą pochowały, muszą już nisko latać po nad ziemią, aby je upolować.

Nie potrzeba wam gadać, boć to wiadoma rzecz, że jak *koguty* o niezwykłym czasie pieją, pogoda się zmienia.

Kurki na niepogodę zagrzebują się w piasek lub w suchą ziemię, często sobie piórka osmykują dzióbem i chodzą wolno i smutno po podwórku.

Pawie przed deszczem krzyczą aże uszy bolą, a często i w nocy je usłyszysz.

A kiedy *gęsi* karmisz przed chałupą a one ci się pilnie zlatają do jadła, kłócą się o niego i między sobą gryzą, a potem zaś co prędzej lecą do wody — zobaczysz że niebawem pogoda się zmieni i będzie deszcz.

Wieczorem uważaj też na *wrony i kawki:* jeżeli są bardzo niespokojne, gromadzą się w kupy i często pokrakują, to już nazajutrz bądź pewny, że będzie słota a może i burza.

I nasz gajowy: *dzięcioł* głosi na burzę, hałasując bardziej po drzewach, niż zwykle. Jako szczery tatuś dla swojej rodziny, przestrzega ją, aby się miała na ostrożności przed burzą.

Leje deszczysko jak z cebra — smutno ci gospodarzu! robota w polu stoi, albo co gorsza, zboże porznięte gnije na słocie.

I patrzysz rychło temu koniec będzie; tak byś się rad pocieszyć! Aż tu na wierzbie nie opodal chałupy zaświergotał wróblik jeden — niebawem pokazało się ich więcej: nuż tedy w głośną pogadankę ze sobą. I myśli sobie gospodarz patrzący na wróbli: O czem też one psotniki tak głośno szwargoczą między sobą? może hultaje zmawiają się na moje zboże?.... Otóż nieprawda panie gospodarzu, co sobie tak źle myślisz o wróblach — bo nie o tem mowa między niemi. Owszem radować się masz ale nie gniewać na nich, boć wesołą przynoszą wieść że będzie pogoda i dla tego się tak cieszą i tak głośno szwargoczą między sobą. A toć za taką pocieszną wróżbę gospodarzu miły, rzuć im z garstkę pośladu by się też pożywiły — głodne nieboraki.

Prawdy gospodarcze.

(*Z elementarza dla chopców wiejskich.*)

Pytanie. Kto jest złym gospodarzem?

Odpowiedź. Ten co kościół omija, karczmę ma za dom, dom za łóżko, łóżko za pracę, pracę za dopust Boży, a ręce zawsze w zanadrzu:

Co w święta, w niedziele
Nie bywa w kościele;
Co przy pracy chucha,
Przy jedzeniu dmucha;
Ochotny do szkody,
Jak ryba do wody;
Komu karczma swat,
Każdy hultaj brat.

Pyt. Czy w gospodarce zawsze tylko starego zwyczaju pilnować, czy się też i czego nowego imać godzi?

Odp. Starego się trzymać, kiedy dobre; nowego się imać, kiedy lepsze. Ludzi na świecie przybywa, ale ziemi nie przybywa; więc trzeba do tego bardzo dochodzić i starannie przykła-

dać, żeby ziemia coraz lepiej rodziła i dobytku coraz więcej przybywało.

Pyt. Kiedy oranie jest dobre?

Odp. Kiedy skiby na głębokość, na szerokość i na prostość składają się jak pod miarę:

Wtedy orce rola rada,
Gdy się równe skiby składa.

Pyt. Kiedy radlenie jest dobre?

Odp. Kiedy cała rola raz około razu radłem się poruszy.

Pyt. Kiedy bronowanie jest dobre?

Odp. Kiedy bryły rozbite, a rola spulchniona, czysta, bez chwastu, niby wyplewiona.

Pyt. Czy w każdym czasie można w roli robić?

Odp. W mokrej roli nigdy nie robić ani pługiem, ani radłem, ani broną; dla tego starzy uczą:

Kiedy mokre role,
Nie chodź z pługiem w pole.

RÓŻNOŚCI.

Mazurowie nasi gościną w Krakowie. Właśnie temi dniami do Krakowa przyjechało kilku gospodarzy z jednej wsi aże od Tarnowa. A przyjechali do swojego dziedzica w takiej sprawie: Oto on dziedzic mieszkający w Krakowie nie dla parady, jeno że był słabego zdrowia i potrzebował spokoju, umyślił był sobie sprzedać oną wieś w Tarnowskiem, jako że sam nie mogąc gospodarować, nie wiele miał pożytku — zwłaszcza w tych ciężkich czasach. Skoro się o tem dowiedziała gromada — bo już nawet jakiś kupiec zjechał był tam na oględziny — wzięła radzić między sobą: czyby nie lepiej było, złożyć się i zakupić oną własność pańską na siebie, kiedy już taka wola jego sprzedawać, aniżeli puszczać ją w obce ręce. I uradzili żeby gromada zakupiła na siebie. — I otóż to w tej sprawie przyjechali do pana co najpoważniejsi gospodarze z onej wsi. Niepomału zdziwił się dziedzic, zobaczywszy ich w Krakowie u siebie; a kiedy mu powiedzieli, z jaką prośbą do niego przybyli: że to idzie o kupno własności jego, którą by radzi sami nabyć aby nie przeszła w obce ręce — to się jeszcze tem bardziej uradował.

— Prosimy wielmożnego pana, powiadają, byście nam nie odmówili. Przecie po starej znajomości nam się pierwszeństwo należy. Targować się z wami nie będziemy — co będą inni kupcy ofiarować, my to samo damy jegomości, byleście tylko łaskawie przystali na wypłatę, bo jużeić na tak wielką sumę od razu niestać naszą gromadę. Zato podejmujemy się dwór i ogród cały zostawić wam na własność abyście też na lato, jak Bóg da zdrowia i będzie pańska wola potemu, mieli gdzie pomieszkać sobie dla swojej wygody.

Otóż i podobno dziedzic przystał. — Gospodarze uradowani poszli zaraz na krakowski zamek, gdzie jezt bardzo piękny kościół i złożyli się na mszę świętą, na podziękowanie panu Bogu. I pięknie im się modliło w onym starodawnym kościele, co go jeszcze nasi polscy królowie fundowali. Po nabożeństwie Mazurowie nasi radzi byli przejść się po onym wielkim kościele i wszystkiemu się doskonale przypatrzyć, aby też mieli co swoim opowiadać jak wrócą z Krakowa. Poprosili tedy kościelnych, aby ich wszędzie oprowadzili i każdą im rzecz świętą wytłómaczyli. I dopiero dowiedzieli się tam, co to za trumna ze szczerego srebra stoi pośrodku kościoła: że to w niej święty Stanisław leży, nasz patron polski. A potem jakci zaczęli chodzić po wszystkich a wszystkich kaplicach do okolusieńka; a kościelni jakci im wzięli prawić: czyja ta kaplica a ta czyja — a jedna piękniejsza od drugiej i że to wszystko zostało po królach polskich — to się naszym Mazurom już nie wiem jak działo. Bo i myślą sobie: — mój ty mocny Boże! co to królów miała nasza Polska! a jacy to byli pobożni panowie i jacy dbali o chwałę Bożą, skoro tyle cudnych pamiątek po sobie zostawili. — A gdy już wszystko zwiedzili co było ciekawego na górze — rzekną kościelni: — Chodźmyż teraz do grobów królewskich, co są pod kościołem. — I zeszli na dół po kamiennych schodach do onych pańskich grobów. I opowiadali im znowu kościelni: gdzie jaki król w trumnie leży, kiedy żył i jak dawno umarł — a gospodarze pilnie słuchali, jeno nie wiem czy sobie wszystko dobrze zapamiętali.

Kiedyś, da Bóg doczekać, w Dzwonku lepiej wam to opowiemy, co się w onym kościele krakowskim na zamku znajduje i jacy Święci i jacy tam królowie leżą. Wiem-ci ja, jako nie każdego z was stać na to, aby się temu na własne oczy przypatrzył — to przynajmniej niechaj się o tem dowie z opowiadania, o czem każdy Polak wiedzieć powinien.

Pożary. Zeszłego miesiąca w *Wojsławicach* w obwodzie Żółkiewskim pogorzał wójt gromadzki Jan J. Z wójtostwa przerzucił się ogień na inne chałupy. Niewiedzieć czy ratunek był zły, albo też wielki wiatr pomagał pożarowi, dość że się dziewięć chałup ze wszystkiem spaliło. Szkodę rachują na 7.186 reńskich. Powiadał wójt, że ogień był podłożony. — W *Zazulu* w obwodzie złoczowskim uderzył piorun w stodołę Iwana Dz.

i zapalił ją. W domu natenczas nie było żywej duszy, wszystko pracowało w polu. To też ogień przerzucił się wnet na oborę a z tamtąd na chałupę. W krótkim czasie spłonęła cała zagroda biednego człeka. — A w *Rabie* w powiecie Jordanowskim spaliła się karczma *Krzyżowa.* Było to późno wieczorem, kiedy się zajęła. W karczmie stały cztery wozy węgierskie: 3 z gipsem, a 1 ze siarką. Wszystko to wraz pogorzało. Szkoda ma być na 3.700 reńskich. Nieszczęścia tego narobił chłopiec jednego z furmanów. Miałci on coś opatrywać około wozu, co był właśnie wyładowany siarką. Otóż zapalił sobie świeczkę, żeby mu widniej było i przylepił ją do onego wozu ze siarką. Od tej świeczki zajęło się płótno a potem i siarka — no to i więcej już nie potrzeba było; piorunem rozszedł się ogień po całej karczmie. O ratunku ani było myśleć. — Ale największy pożar w tym czasie wydarzył się w *Tłumaczu,* gdzie cukier robią. Zaczęło się palić we fabryce; dopiero z tamtąd przerzucił się ogień na przedmieście. Wielką szkodę poniósł ksiądz proboszcz tamtejszy, bo mu się wszystkie budynki gospodarskie popaliły. We fabryce spaliły się dwa budynki — zajął się był i trzeci, aleć go uratowano. W mieście pogorzało szesnaście domów. Zkąd powstał ogień: czy z przypadku czy z podłożenia — jeszcze dotychczas nie wiedzą.

Ciekawe zdarzenie. Jedna niewiasta prała bieliznę nad rzeką, a była wielka woda na rzece. Stojąc na pochyłym brzegu zapewne pośliznęła jej się noga i biedne kobiecisko wpadło na głowę do wody. A tu na nieszczęście ani żywej duszy na brzegu! Kobieta tonąca pokazała się raz i drugi raz nad wodą, wołając słabym głosem o ratunek. Wtem czuje, żeć ją ktoś porywa za suknie i żwawo płynie z nią do brzegu. Ratunek był prędki, niewiasta jeszcze całkiem nie straciła przytomności. Czując się już w bezpieczeństwie na suchym lądzie ciekawa była, kto ją wyratował od śmierci. Otwiera oczy i patrzy za swoim dobrodziejem — zgadnijcież kto nim był: nie człowiek! a więc któż taki? oto pies wielki stał nieopodal i właśnie otrzepywał się z wody. Jak powiedzieliśmy, żywej duszy nie było na brzegu, jeden tylko pies przechadzał się ponad rzeką. Widząc kobietę tonącą, bez żadnego rozkazu, ale z dobrej woli rzucił się za nią do wody i uratował jej życie.

Ciekawe to zdarzenie opowiedziały pisma niemieckie. — A działo się to niedawno temu kędyś w kraju niemieckim. —

Dawne przysłowia i przypowieści.

1. Znać dobrze po mowie, co się dzieje w głowie.
2. Za młodu gałązki nachylać potrzeba, bo kiedy się zrośnie, tedy się już złamie
3. Wszędzie dobrze, a doma najlepiej.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**